

Wojciech Kossak: Somo-Sierra

Wysadzali się malarze na przepaściste wąwozy ze skałami, z których wprost na naszych szwoleżerów kamienie i głazy zrzucają geryllasy, na pejzaże raczej do turni tatrzańskich zbliżone, jak obraz Verneta, malowany dla pułkownika Krasińskiego. Nie ma jednego, który by choć w przybliżeniu był w zgodzie z rzeczywistością – wspominał prace nad „Panoramą Somosierry” Wojciech Kossak. W „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Polskość jak malowana” publikujemy fragment jego „Wspomnień”.

Po powodzeniu i artystycznym i finansowym Berezyny, powstała myśl w gronie przyjaciół sztuki polskiej powierzenia mi ilustrowania jednej z najpiękniejszych kart naszej historii wojennej w postaci panoramy. Somo-Sierra zdawała się cenzuralną, Kircholm i szarża hussaryi pod Warszawą na Szwedów zanadto narodowa, o Grochowie, Iganiach, Stoczku nawet marzyć nie wolno. Somo-Sierra jest ogólnie-europejską jak cała epopeja napoleońska. Nieśmiertelna szarża, wykonana przez pułk chevaux-legerów gwardyi, daje swoje nazwisko rozdziałowi historii Thiers’a, poświęconemu wojnie hiszpańskiej. 23 biuletyn armii hiszpańskiej, redagowany pod dyktandem Napoleona, nazywa ją »la charge brillante s’il en fut«.

Malarze francuscy, jak mój chrestny ojciec, Horacy Vernet, Bellenger, Raffet, malarze polscy jak Suchodolski, mój Ojciec, ja i wielu innych, traktowaliśmy ten temat, nie mając żadnych danych co do konfiguracji

terenu, jak opisy uczestników szarży: Załuskiego, Niegolewskiego, Tedwena, Łubieńskiego i innych. Opisy te są bardzo niedokładne, wskutek tego każda Somo-Sierra była dotąd fantazyą.

Czytałem te opisy w oryginalnych listach, pisanych do śp. Piotra Michałowskiego, jedyne go wówczas batalisty polskiego. Najwięcej mnie przekonał list śp. Niegolewskiego. Powiada on, zapytany listownie, jak mu się przedstawiła Somo-Sierra jako pejzaż: »Co do lanszaftu, to wiele wmość panu powiedzieć nie mogę, pamiętam, że była gęsta mgła, a potem zaczął prószyć pierwszy listopadowy śnieg — zresztą, wśród trzasku granatów, świstu kul, warczenia kartaczy i gęstego dymu z hiszpańskich dział, przyznam się szczerze, że na lanszaft nie zwracał uwagi«.

Wysadzali się więc malarze na przepaściste wąwozy ze skałami, z których wprost na naszych szwoleżerów kamienie i głazy zrzucają geryllasy, na pejzaże raczej do turni tatrzańskich zbliżone, jak obraz Verneta, malowany dla pułkownika Krasińskiego. Niema jednego, któryby choć w przybliżeniu był w zgodzie z rzeczywistością, a moja Somo-Sierra, to już chyba najmniej do prawdziwej podobną.

Toteż oprócz na poważne zadanie i możność stworzenia dzieła, które nareszcie byłoby historycznym dokumentem po tych wszystkich fantazyach malarskich, cieszyłem się także szczerze na dokładne poznanie tego pamiętnego pola bitwy.

*Cieszyłem się szczerze na
dokładne poznanie tego
pamiętnego pola bitwy*

Gdy konsorcjum
zrobiło ze mną
kontrakt notaryalny,
gwarantując mi sto
tysięcy rubli za
panoramę Somo-

Sierry, wraz z plastycznym terenem, prosiłem cesarza Wilhelma o urlop na czas, potrzebny do studyów przygotowawczych i do wykonania samego obrazu. Udzielił mi go chętnie, winszując tak poważnego przedsięwzięcia. Właśnie w tym czasie wyszła z druku broszura śp. generała Puzyrewskiego o szarży pułku szwoleżerów gwardyi pod Somo-Sierrą. Napisana przez znakomitego strategika armii rosyjskiej, tętni najwyższym entuzjazmem i podziwem dla ducha, ożywiającego ten wyjątkowy pułk. Generał Puzyrewski kończy swoją broszurę zapewnieniem, że tylko młodzież szlacheckich rodów, mająca cel tak idealny przed sobą, jak odrodzenie swej ojczyzny, mogła dokonać aktu podobnej brawury.

— »Mówili — pisze generał niektórzy historyografowie niechętni Polakom, że w tem piekle Somo-Sierry młode rasowe konie chevaux-legerów wściekły się i poniosły swoich jeźdźców... Dlaczego jednak poniosły ich wprost na armaty hiszpańskie!? Konie ponoszą także często w tył!«

Te zapatrywania generała skłoniły mnie do złożenia mu wizyty przed wyjazdem do Hiszpanii, aby go prosić o radę i o pokazanie *croquis* całej akcji, przysłanych mu przez sztab jeneralny hiszpański do jego dzieła.

Jenerał przyjął mnie bardzo życzliwie, zazdrościł mi mojej podróży, rozmawiając ze mną płynną polszczyzną, zaledwie trochę akcentem północno-litewskim zabarwioną. Objął mi na planach cały przebieg bitwy tak dokładnie, że znalazłszy się w kilkanaście dni potem na polu bitwy, mogłem najdokładniej oznaczyć każde stanowisko, czy to baterii hiszpańskich i pułków Palafoxa, czy też poszczególnych oddziałów armii francuskiej.

Z moim kolegą, Michałem Wywiórskim, pejzażystą, wyjechałem na Paryż do Madrytu. Przy malowaniu Berezyny oceniłem wartość Wywiórskiego jako pomocnika przy dekoratywnym pojęciu pejzażu. Posiada on w wysokim stopniu to, co na dystans szesnastu metrów odległości daje złudzenie prawdy. Dokładne odczucie walorów, a zupełne pominięcie finezyi samej techniki i sposobu kładzenia płam (*main d'œuvre*). O ile ta właśnie technika (*main d'œuvre*) w mniejszych obrazach daje wartość wyższą lub mniejszą pejzażowi, o tyle w panoramie na ten dystans przepada zupełnie i chybia celu. Dlatego też znacznie dystyngowańszy pejzażysta jak i technik śp. Jan Stanisławski, był w panoramie nie do użycia, a Wywiórski w swoim żywiole.

(...)

Ruszyliśmy sud-expresssem ku Hiszpanii. Około szóstej zrana, przyjechaliśmy do Bordeaux. Począłem trząść śpiącym Wywiórem, aby szedł ze mną napić się kawy. Gdy przeczytał, że jest w Bordeaux, zachnął się na moją propozycję: »Raz w życiu znajdzie się człowiek w Bordeaux, a ten mi kawę proponuje!« Wrócił niebawem do przedziału obarczony licznymi flaszkami i nieco ułagodzony. Niestety, niedługo to

trwało; rozdrażnienie doszło wkrótce do ostatnich granic. »Głupi!« (jak twierdził) sud-express, świstał tylko idyotycznie na stacyach takich jak Macon, Margeaux, Lafitte i t.d., a za to zatrzymał się nareszcie »idyota! gdzie, w Angoulême! — czy kto kiedy słyszał o jakim Angoulême!?!«

W Henday kupiliśmy pesetów i wnet w Irun wjechaliśmy do Hiszpanii.

Od razu różnica ogromna. Stacyjki biedne, po słonecznej Francji, jakoś szaro i smutno, napisy tylko noszą pewną cechę rycerskiej galanterii. »Señoras-Caballeros«, trochę to inaczej brzmi jak twarde i oschle »Weiber-Männer«. Jedziemy przez Pyreneje; przypominają trochę Tatry, tylko Baskowie, których się widzi na stacyjkach, jakżeż nie podobni do naszych górali. Zupełnie męski chór operetki lwowskiej w Carmen. Czerwone berety, pończochy w paski na poprzek i na dobrze okrągłych brzuchach szeroki pas wełniany. Małe to i pękate.

O świcie przejeżdżamy przez Escorial: jesteśmy na jednym z najwyższych płaskowzgórzy w Europie. Wrażenie bezmiernego smutku coraz silniejsze, nieurodzajne zupełnie ugory jakieś puste, czasem kilkanaście mułów jeden za drugim, smutnie patrząc w ziemię, ciągną jakiś dwukołowy wóz. Cisza, ani ptaka, ani zająca, horyzonty jakieś dziwne, kończące się raptem ciemną sylwetą, za niemi coś dopiero w kłębach tragicznych chmur majaczeje, czy to góry i śniegi, czy obłoki? Te horyzonty widziałem już na portretach konnych Velasqueza. To Kastylia.

*Jedziemy przez Pyreneje;
przypominają trochę Tatry,
tylko Baskowie, których się
widzi na stacyjkach, jakżeż nie
podobni do naszych górali*

Rano byliśmy w
Madrycie;
zajechaliśmy do
Hotel de Paris, na
Puerta del Sol
(brama słońca).
Rzecz prosta, że ani
Madrytu ani galeryi

w Prado opisywać nie będę, zaznaczam moje wrażenia osobiste. Madryt charakteru wybitnego nie ma, nie porównać go ani z Toledo, ani z Kadyksem, ani nawet Pampeluną co do wybitnej *couleur locale*. Tak samo wielka różnica jest między tragiczną i chmurną Kastylią i Aragonią, a słonecznymi prowincjami południowej Hiszpanii. Zdziwiło mnie jednak i zaimponowało, już w Madrycie, przywiązanie Hiszpanów do swojego ubrania narodowego. Ilość surdutów jest minimalną, wszyscy mężczyźni mają sombrero z wielkim rondem, krótki spencerek, szeroki, czarny, wełniany pas i »manta«, rodzaj peleryny z ciemnej materyi. Tak samo rzadkiem zjawiskiem jest dama w kapeluszu, jak mężczyzna z wąsem, albo jeszcze rzadziej z brodą.

Sala Velasqueza w Prado, sama jedna, wartą jest podróży do Madrytu, bo tam się dopiero ocenia należycie tego fenomenalnego malarza. Jego don Juan d’Austria, cóż to za portret! Ten zły i lichy człowiek, z fałszywym spojrzeniem i ziemistą cerą wątrobiarza, w tych atlasach jasno-różanych, a te arcyksiężniczki, konno, naturalnej wielkości. Jedna ładna, wesoła i widać, że z przyjemnością patrzyła na Velasqueza, gdy ją malował. Aksamitnym, ciepłym spojrzeniem z wysokości konia, obejmuje krąg swojego widzenia. Druga skwaszona, sztywna, ledwie, że

raczy spojrzeć na tego przepysznego *caballero*, jakim był Velasquez. Ta musiała mieć zapatrywania wiedeńskiej arystokracji, do dziś dnia niezmiennie: »Er ist kein Cavalier, er arbeitet«.

(...)

Przygotowałem nasz rynsztunek malarski, zapasy dla Wywióra, Xeresu, Alicante i Madery kilka flaszek (okazało się potem, że za mało) i ruszyliśmy kolejną do Segovii. Gdyby automobile były wtenczas tak rozpowszechnione jak dziś, cała wyprawa byłaby się odbyła nierównie prędzej i wygodniej. Musieliśmy bowiem z Segovii wlec się cały dzień do Somo-Sierry. Nie byłbym za to poznał tego niezwykłego miasta, jakim jest Segovia, a jakich w Hiszpanii wiele. W obrębie murów obronnych, częścią jeszcze rzymskich, częścią maurytańskich albo z czasów Karola V., nagromadzone obok siebie, jakby kto do pudelka to wszystko razem powrzucał, rzymskie akwedukty, wspaniałe moszeje z minaretami, renesansowe pałace i domy, w których niewiadomo skąd maurytańskie *moucharabie* zamiast okien. To wszystko powiązane ze sobą dziwnymi zaułkami, schodkami, tajemniczymi jakimiś przejściami. Nad tem wszystkim dominująca skała, na której piętrzy się stary zamek, podobny w sylwecie do zamku orawskiego.

Zameczek ten ma swoją tragedję. Tam nad samą przepaścią, w oknie, które do dziś dnia pokazują, dama dworu, duegna jakaś młoda, stała, trzymając królewskiego infanta. Czy infant był niesforny, czy dama dworu roztargnioną, dość, że bęben wypadł jej z rąk w przepaść i zabił się, a damie, aby na drugi raz była ostrożniejszą, król kazał ściąć główkę.

Jako przyczynek do cywilizacji dzisiejszej w Hiszpanii i niepojętego zastoju w postępie tego tak bogatego i kulturalnego niegdyś narodu, zacytować muszę szczegół, prawie nie do wiary.

Gdyśmy z kolei do jakiejś oberży brzęczącym, zaprzężonym w pięć mułów omnibusem, zajechali, przeglądnałem nasze zapasy, aby nazajutrz wczesnym rankiem ruszyć w góry. Okazało się, że zapomniałem cytryn i masła. Poleciałem panu Freundowi, aby poszedł szukać tych artykułów. Po dość długiej nieobecności, zjawił się pan Freund i położył przedemną pakiecik, zawinięty w brudny i zmięty papier. Była w nim zielona, podejrzanego czystości flaszcza z płynem nieokreślonego, brudnego koloru, i, jak mi się na pierwszy rzut oka zdawało, pół łokcia kiszki wątrobianej (Leberwurst). Było to tak niepodobne do cytryn i do masła, po które go posłałem, że nie mogłem zrozumieć, co to znaczy. Pan Freund wytłomaczył mi, że w tym kraju cytryn i pomarańcz, nie mogą ich dostać w naturalnej postaci, więc przyniósł płynu z solonych cytryn. W głowę zachodzę, do czego oni mogą używać tego cuchnącego, brudnego i słonego płynu. Zapach jego był tak wstrętny, że natychmiast całą flaszcza wyrzuciłem za okno. Ten leberwurst zaś, to było paroletnie masło, szara, brudna jakaś maść w popielatej kiszce! W Hiszpanii dostać można masła jedynie w tej postaci (oprócz paru hoteli w Madrycie), służy ono do pieczenia francuskiego ciasta, zresztą nikt go nie je, wszystko się smaży na oliwie.

Z Segovii jechaliśmy na wschód, mając po prawej stronie ciągle pasmo gór Guadarramy. Wlekliśmy się raczej, nie jechali, mając wóz na dwóch kołach z budą, zaprzężony w trzy muły w szydło, na wozie tym były nasze przybory malarskie i aparaty fotograficzne. Szliśmy prawie cała

*Jedyny kraj, przypominający
mi trochę Kastylię, to okolice
Dniestru, ale Podole nie daje
tego przygnębiającego
jakiegoś smutku, czegoś
bezpowrotnie minionego*

drogę piechotą, co
było znośniejszem
niż trzęsienie tego
wehikułu. Przez cały
ten dzień, wlokąc się
tym wielkim
traktem, idącym z
Bajonny przez
Burgos do Madrytu,
nie spotkałem ani

jednego powozu, ani jednego surdutowca, jedynie i wyłącznie tylko
chłopów. Kraj smutny i jałowy, a im dalej w góry, tem nastrój coraz tra-
giczniejszy, dziwne jakieś niby wsie, niby miasteczka o charakterze
niepodobnym do żadnych innych, jakby z gliny albo ziemi budowane
kastele o dziwnych formach, poprzyczepiane do skał, albo gór nad
wielkimi jarami. Jedyny kraj, przypominający mi trochę Kastylię, to
okolice Dniestru, między okopami św. Trójcy a Chocimem, ale Podole
nie daje tego przygnębiającego jakiegoś smutku, czegoś bezpowrotnie
minionego.

Wśród tych pól, stojących odłogiem, każdy most, a nawet każdy mostek
jest śladem wielkiego niegdyś dobrobytu i kultury. Oto widzę z daleka
wśród ugorów i rzadkich pól kartofli, jakiś rząd białych, nieruchomych,
jakby ludzi w turbanach siedzących, albo kóp zboża, nieznaney mi może
o jasnej słomie jarzyny. Zbliżamy się, i widzę pole kartofli, wśród
otoczenia murem, o najbogatszym wschodnim motywie, rznętym w
kamieniu. Przypuszczam, że musiał tu być kiedyś cmentarz Maurów.

Widzę całe pasmo Guadarramy. Teraz dopiero jesteśmy na wielkim trakcie idącym z Bajonny do Burgos, na tle złotego nieba granatową sylwetą rysuje się każdy szczyt. Na pierwszy rzut oka, obejmując całe pasmo wzrokiem, widzę gdzie Somo-Sierra. Tam! Tylko tam, gdzie wśród stromych i wysokich szczytów to łagodne zagłębienie, tak, to jest jedyne przejście przez Guadarramę i jedyna droga do Madrytu.

Myśl, że jestem już na tym samym trakcie, po którym legia nadwiślańska i szwoleżery gwardyi tyle razy maszerowali, że jestem już blisko tego miejsca o nazwie tak popularnej w dalekiej Polsce, napełnia mnie, pomimo zmęczenia, doskonałym humorem. A że pragnąłbym i Wywióra zmordowanego tą całodzienną wędrówką ożywić i do mojego diapazonu dostroić, niebacznie prawie cały zapas wina oddaję do jego dyspozycji, pełen otuchy, że teraz, kiedyśmy już nareszcie tak blisko celu, wszystko będzie dobrze.

O świcie ruszamy już wprost, ku różowym teraz na tle oparów szarych i mgieł, góróm Guadarramy, trakt nas prowadzi wprost na owo siodełko. Wizye mojej malarskiej fantazyi zapełniają mi tę drogę, sceny z pamiętników Załuskiego, księżnej d'Abrantes (marszalkowej Junot), jenerała Dezyderego Chłapowskiego, sceny z *Popiołów* Żeromskiego tłoczą się i kłębią!... Jesteśmy w wiosce Cerejas (*cerises*, wiśnie), zgadza się najdokładniej z planem sytuacji jenerała Puzyrewskiego. Tu był biwak cesarza, u wejścia niemal do wąwozu, tu wstąpił tejże nocy w służbę przy nim, Kozietulskiego czwarty szwadron szwoleżerów gwardyi, zluzowawszy szwadron *de gendarmes d'elite*, którzy byli w służbie od Bajonny. Inne szwadrony pułku szwoleżerów zostały nieco w tyle, tam ku Sepulveda. Tutaj przy ogniach biwaków w zimną noc listopadową, w mrozie, wionącym od granitowej pustki tak już blizkiej, nie

jeden z naszych zmówił pewnie »Kto się w opiekę« i popatrział, czy szkaplerza nie zgubił. Łańcuchy ogni hiszpańskich, ciągnące się po faliściach wzgórz, wskazywały dostatecznie, że to, co patrole wywiadowcze meldowały szefowi sztabu Berthier a księciu Neufchatelu, jest prawdą; cała armia Palafoxa czeka na Napoleona w Somo-Sierra, a że bronić będzie tego défilé z całą zaciekłością, o tem nikt nie wątpił.

Wychodzimy z Cerejas i wchodzimy do wąwozu. Przypomina mi się wejście do doliny Kościeliskiej w Tatrach. Formacja gór mniej dzika od tatrzańskiej, zato jodeł i świerków niema wcale, tylko kępki limby, góry zavalone głazami, jałowe jak Czerwone Wierchy. Szosa szeroka idzie wzdłuż szumiącego górskiego potoku, po prawej stronie; przechodzimy mostek kamienny, potok jest teraz po lewej naszej stronie. Już wiem! oryentuję się teraz doskonale, zaraz będzie drugi most, potok pozostanie już zupełnie za nami, a wnet szyja wąwozu rozszerzy się w rozległą dolinę. Za drugim mostkiem, tym właśnie, na którym stoję, stał szwadron służbowy Koziatulskiego, zasłonięty wystającą skalą od kul działowych i kartaczy, a tu, w tem tu miejscu, stał cesarz.

Lecę już kłusem, Wywiór za mną, mijamy tę skalę, która była bramą tego piekła, i widzimy naraz całe pole bitwy — szeroka dolina, wznosząca się łagodnie ku szczytowi siodła. Oprócz szosy, wszystko zavalone głazami, ani kłusem a cóż dopiero galopem tam nie przejedzie.

Droga podobna jak do Kuźnic, ale idzie w zakosy, wszystko jednak na większą skalę i rozleglejsze. Od wejścia do wąwozu aż do szczytu siodła, jest cztery kilometry. Szosa jest zamknięta z obu stron murem z głazów

i obsadzona topolami, widać ją dokładnie całą, pomimo mgły jesiennej. Podobna błyskawicy piorunu, załamuje się parę razy i wreszcie prostą końcową linią strzela wprost aż do szczytu. Tam daleko u szczytu siodła, jeszcze rudziej na tle sinych mgieł złotawe sylwety topoli.

Dochodzimy do pierwszego załamania szosy pod kątem prostym. Tu musiała stać pierwsza bateria hiszpańska, tu z pewnością, bo osiemset kroków najwyżej oddaloną będąc od szyi wąwozu, mogła zasypywać gradem kartaczy wejście na tę śmiertelną arenę, sama zaś nie była w rejonie strażów innych baterii hiszpańskich.

Jak oni mogli przejechać! Na każdym zakręcie stały cztery armaty, szosa niezbyt szeroka, nawet kanonierom przychodziło się między osiami przeciskać, aby się przedostać do wylotów dział, gdy przyszło je nabijać?!

Ze szosy zeskoczyć nie mogli na łączkę obok, bo chociaż tacy jeźdźcy jak oni, przesadziliby ten mur z pewnością, to i tak nie mogliby po tych kamieniach i dziurach galopować. Zresztą, za tym murkiem, głowa przy głowie, klęczeli lub przysiedli geryllasy i rznęli do nich siekańcami »a bout portant«, dotykając ich niemal lufami karabinów i tromblonów (garłaczy).

Porównując Somo-Sierre w naturze z płodami imaginacji naszej, nas malarzy, co ją chcieli ze swej fantazyi odtworzyć, wygląda dla nie-żołnierza bardzo niewinnie, niema ani przepaści ani jarów. Natomiast z punktu widzenia żołnierza i jeźdźca, musiało to być wprost piekłem.

Ten nasz samotny szwadronik (136 koni), zmuszony pędzić, co koń wyskoczy, po wytkniętej jedynej drodze, na którą koncentrycznym ogniem bija wszystkie armaty Palafoxa, zmiatając wszystko krzyżowym ogniem, to gorsze, niż skały i przepaście. A przecież to jeszcze nie wszystko, bo defilowali marsz marsz wśród rotowego ognia przyczajonych, pod osłoną kamiennego murku, geryllasów, a co kilometr barykada z armat, zamykająca szczelnie szosę, a ziejąca ogniem kartaczy.

*Tu musiała stać druga bateria,
tu padł koń pod Koziętulskim,
tu najwięcej padło naszych*

Zwracamy się z szosą
na lewo ku jarowi
skalistemu, jakby
wejściu do innej
ważkiej dolinki. U jej
wejścia parę

nędznych, kamiennych lepierek, pokrytych dachówką, to Sepulveda Villa. Szosa do nich nie dochodzi, ale raptem zwraca się teraz, jak strzełił, prosto w górę. Tu musiała stać druga bateria, tu padł koń pod Koziętulskim, tu najwięcej padło naszych. Jeszcze dwie baterie. Te miały naszych długo na celu, ze dwie i pół minuty, licząc że szwadron, pędząc marsz marsz pod górę, robił siedemset kroków na minutę, a na wycięcie obsługi przy przesadzonych bateriach potrzebował pół minuty. Armaty mieli wycelowane z góry, żaden myśliwy na stanowisku, tak pewnym nie mógł być nigdy zwierzyny, bo wyjść może na prawo albo na lewo od niego. Kanonierzy Palafoxa wiedzieli, że tylko po szosie nieprzyjaciel ku nim postąpić może. Potrzebowali tylko lonty do zapałów przyłożyć.

Dochodzimy do szczytu, do ostatniej baterii, stoi tam parę dziwnych budynków z szarego kamienia. Stare one bardzo, widziały z pewnością »la charge brillante s'il en fut«. Tu z całego szwadronu dojechało siedmiu, a reszta albo zginęła, albo przy poległych swoich koniach zaścieliła szosę. Tu wobec tych smutnych starych ruder kamiennych, Niegolewski, jedyny jeszcze oficer, z tymi siedmioma żyjącymi szwoleżerami padł z koniem, a gdy leżał pod nim, dostał od rozwścieczonych klęską uciekających geryllasów szesnaście pchnięć bagnetem. W kilka minut potem, tli w tem samym miejscu, zboczony krwią, podtrzymywany przez swoich żołnierzy, widział jak przez mgłę, że biała ręka w szarym rękawie, zbliża się do jego pokłutej piersi i kawalerski krzyż legii honorowej na niej przypina.

Stanąwszy na szczycie siodełka, widzi się teraz szosę, łagodnie sunącą ku dolinie, ku Madrytowi.

Wywióra trapi pragnienie, w gorączce i podnieceniu przelecieliśmy te cztery kilometry pod górę, a wóz nasz na dole, przy tym mostku, na którym cesarz czekał, aż umilkną armaty. Wywiór po raz pierwszy od wielu lat decyduje się z niesmakiem na »gęsie wino«.

Właśnie tuż obok szemrze górski strumyczek i ścieka jakaś woda aż biała od piany. Wywiór na wodzie się nie zna, nie dziwi go ta piana niezwykła, pochyla się i pije, wnet zrywa się jednak, spluwając z obrzydzeniem. Były to mydliny; parę metrów wyżej, dwie *señoritas*

prały jakieś brudne szmaty. Wywiór do śmierci pozostanie w przekonaniu, że woda, przed którą go instynkt zawsze tak przestrzegał, musi mieć koniecznie smak mydła.

Wracamy do naszego wozu, pan Freund tymczasem przygotował śniadanie. Wywiór wypił wszystko, co było do wypicia, aby smak »wody« zapić, i powoli udobruchał się nieco.

*Szwadron, z którego ledwie
potowa jeszcze żyje, zakręcił
teraz marsz marsz ku drugiej
baterii, tam najstraszniejsza
czeka go hekatomba*

Wybraliśmy miejsce na »podium«, to znaczy punkt, z którego patrzący na panoramę, będzie widział i wylot szyi, z którego, wobec milczącej już baterii

pierwszej, rusza sztab cesarza szosą naprzód. Ja moją kompozycję już widzę. Dwóch szaserów konnych gwardyi poprzedza cesarza i jego święty sztab. Równocześnie *au pas gymnastique* walą się pułki piesze wołyżerów i fizyliarów francuskich na prawo i na lewo od szosy. Obok podium tuż będzie pierwsza bateria. Armaty krwią zlane, szwoleżery i ich konie w furii natarcia powbijały się między armaty, w ostatnim tchnieniu jeszcze sięgając kurczowym odruchem za zdobyte armaty... Cicho naraz w tem strasznym piekle... Szwadron, z którego ledwie potowa jeszcze żyje, zakręcił teraz marsz marsz ku drugiej baterii, tam najstraszniejsza czeka go hekatomba... Hrabia Segur, przyjaciel Polaków, adjutant cesarski, widząc tę szarżę jedyną, nie wytrzymał, sady z ordynansem swoim za bohaterskim szwadronem... Widzę

majaczące w oddali dalsze baterie, gdzie kanonierzy z zapalonymi lontami czekają, aż z zakrętu ukaże się resztką szwadronu, już tylko kilkunastu.

W kilka minut po nich zabrzmiały trąbki pozostałych szwadronów nieśmiertelnego pułku »lekkokonnego gwardyi«. Nie ich wina, że szwadron Kozińskiego wyciął co było do wycięcia i zdobył wszystkie armaty, a oni jak i kawalerya gwardyi francuskiej, pojedą już wolną drogą.

Rozpoczynamy studia terenu. Wywiór jest nieoceniony, robota idzie w nastroju przedziwnym... Wiem nareszcie, jakim jest »wąwóz« Somo-Sierry. W żadnym języku europejskim niema słowa, odpowiadającego francuskiemu »défilé«. Właściwie znaczy to przejście, które nie pozwala oddziałom poruszać się inaczej jak bardzo wązkim frontem. Historyografowie Somo-Sierry, przetłómaczyli to na »wąwóz«. Wąwozem w Somo-Sierra jest tylko krótka gardziel górską u wejścia, a ta wcale przez Hiszpanów nie była obsadzona. Najstraszniejszym »défilé«, czyli wąwozem była tutaj ta szosa, otoczona murem, wśród łąki, zawałonej głazami, na jakie dwa kilometry szerokiej.

Wywiór pracuje, fotografuje, obaj nie tracimy czasu. Przybijam obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na starej topoli tam, gdzie stała druga bateria. Hiszpanie go nie tkną z pewnością.

Widzę jednak, że Wywiór rozdrażniony i, jak motor w samochodzie, gdy dopływ benzyny za mały, zaczyna prychać i kichać, tak i on zaczyna być przykrym i nerwowym. Niema nic do picia, te mydliny sprawiły, że

wszystko poszło. Skądże ja mu tu dostanę wina w tern pustkowiu!

A dogodziłbym mu z duszy serca, bo kochany Michałek pracuje jak koń i znakomite studia wali jedno po drugim.

Z za zakrętu drogi wyłaniają się ogromne uszy, za niemi jeden, drugi, trzeci, czwarty muł, za mułami wreszcie ukazuje się i wóz na dwóch ogromnych kolach, na nim leżą wory skórzane, ale jakieś okrągłe jak dynie. Dwóch *caballeros* idzie obok. — »Buenos dias!« — Pan Freund zaczyna z nimi pogawędkę. Wino wiozą! Wino krajowe »rioja« (riocho) się nazywa. Rzeczywiście w tych worach coś bulgocze. Wywiór zbliża się z rozjaśnionem obliczem. Jeden caballero uderza z pod spodu pięścią w wór, przedtem wyjąwszy drewniany czop; ukazuje się ciężka, gęsta, czarna ciecz. Ale Wywiór przywarł już do tego otworu ustami...

— Wojtek, skosztuj, doskonałe.

W znakomitych ilustracjach Gustawa Doré do Don Quichota, widziałem takie worki z winem. Nie powiem, żeby to ponętnie wyglądało.

Gdy przyszło do zapłaty, *caballeros* nie chcieli ani centima przyjąć, zaledwie dali się papierosami poczęstować. Wywiór jednak kupił sobie jeden wór pełny i z troskliwością, trzymając go na kolanach, zabawiał się nim aż do Segovii.

Wojciech Kossak

